

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

O Janku-złośniku i Wikci-plaksie.

Janek złościł się dzień cały,
Wikci wciąż się łezki lały;
A lez, gniewu ta przyczyna,
Ze mamusia napomina,
By grzeczne były dzieciętki.
Raz rzekł Janek do Wikcieczki:
„Ojciec zrzędzi, mama laje,
„Chodźmy lepiej w inne kraje,
„Rzućmy tego domu ściany;
„Idźmy wdał, tam gdzie bociany
„Mają gniazda. Ani chwili
„Tu nie traćmy; lepiej, milej,
„Będzie tam, niż tutaj w domu,
„Chodź, ujdziemy pokryjomu.“
„Być wśród obcych; wiercie dziatki,
„Ze najlepiej jest u matki.“
I trawy z nadrzecznej łąki,
I pszeniczne dziwi pole,
I ostróżki i kākole,
A chabry i krasne maki
Szepcą: „ot głupie dzieciaki,
„Ze nie chcą wierzyć nikomu,
„Iz najlepiej w swoim domu.“
Janek złośnik i uparty
Wykrzykuje: „to są żarty“
„U bocianów lepiej przecie,
„A wy nas oszukać chcecie!“
Poszli w świat. Daleka droga.
Wikcia płacze wciąż nieboga,
Rani nóżki o kamienie,
Ogarnia ją zniechęcenie.
Wreszcie przyszli nad moczary,
Tam poważny bocian stary
Z swą małżonką bocianową
Zerował, kiwając głową;

Dzieci się skłoniły ładnie,
Bocian grzecznie je zagadnie:
— „Skąd jesteście, co żądacie?“
— „Zle nam było w naszej chacie,
„Więc prosimy cię, bocianie,
„Weź ty nas na wychowanie.“
Bocian zmrużył jedno oko;
Tak zdumiony był głęboko.
„Zle wam było w waszej chacie?“
„Zle przy mamie i przy tacie?“
„Dzieci, co wy też mówicie?“
„Czym ja pojął należycie?“
„Zresztą, mam pisklęta własne,
„A mieszkanie bardzo ciasne;
„Wziąć was nie chce i nie mogę,
„Idźcie zatem w swoją drogę.“
Dzieciom bardzo zrzędził minka;
Rozpłakała się dziewczynka.
Widząc to, bocian strapiony,
„Radź mi,“ rzekł do swojej żony,
„Co tu robić?“ — „Trudna rada,
„Zmarniałyby gdzie na świecie,
„A kąt jakiś znajdziem przecie.“
„Byle nasi goście mali,
„Być grzecznymi obiecali,
„I bawili nam pisklęta.“
— „No, siadajcież, niebożęta,
„Między skrzydła, dalej — jazda —
„Zaniesiemy was do gniazda.“
„Trzymać mi się mocno, ładnie,
„Niech tam które z was nie spadnie
„W nadpowietrznej tej podróży.“

Chcąc kawałek był nieduży,
Wikcia płacze wciąż ze strachu.
Wreszcie stanęli na dachu,
Ujrzeni gniazdo bocianie.
Odkryło się przywitanie,
I po krótkiej jakiejś chwili
Wszyscy się poznajomili,

I od słowa, aż do słowa,
Zywa wszczęła się rozmowa.
„Gdzieście skrzydła pchowały?”
Pyta się bocianek mały
Bardzo grzecznie swoich gości,
To pytanie Janka złości,
„My skrzydeł nie mamy wcale,”
Mówi gniewnie i zuchwale.
„Myśmy ludzie, a nie ptaki!”
— „Nie macie skrzydeł, biedaki!”
(Ciąg dalszy nastąpi.)



ANIELKA.

Wtedy spostrzegła, że Magda pilnie przypatra się szafirowej wstążeczce, którą miała na szyi. Nie namyślając się więc, zdjęła szybko wstążkę i zawiązała ją przy koszuli malej.

— Teraz będziesz ubrana tak, jak ja — rzekła.

Magda rozśmiała się na cały głos, wyobrażając sobie, że już posiada nie tylko szafirową wstążkę, ale różową sukienkę i białe pończochy i wysokie buciki.

— A to, jeszcze sobie zjedz — mówiła.

— Zjem aż jutro, bo to słodkie.

— A za to, że cię zbili.

Ucałowała ją.

Pocałunek przecie, który Anielka uważała za najwyższą nagrodę, najmniej oddziałał na Magdę. Ścisnęła ona sucharek i co chwilę spoglądała na szafirową wstążkę, myśląc, że jest całkiem podobna do wielkiej damy.

Tymczasem na zakręcie drogi rozległ się turkot i podniósł obłok kurzu. Elegancki koszyk nadjeżdżał pędem. Przestraszona Magda uciekla aż do progu chaty, niespokojnie patrząc na przejeżdżający powóz, na którym pogonił Karusek. Anielka odwróciła się do niej i skinęła na pożegnanie ręką.

— Bądź zdrowa Magdzu! — rzekła.

Pobiegła do otworu w płocie i za chwilę

zniknęła w gąszczu. Za nią popędził Karusek, a za nim obojgiem — Magda.

Wtedy — we drzwiach chaty ukazał się człowiek olbrzymiego wzrostu, bosy, z rozpiętą koszulą na piersiach. Włożył obie ręce za pazuchę i patrzył to w stronę powozu; który już znikł, to na ogród, w którym ukryła się Anielka, to na dach i kominy dworu.

Był to Gajda.

Jeszcze chwilę popatrzył za oddalającymi się dziewczynkami, mruknął coś niewyraźnie i wrócił się do izby.

Takie było pierwsze spotkanie Anielki z Magdą.

III.

Pewnego rana przy śniadaniu powiedziano dziedzicowi, że jeden z fernali zajął w szkodzie konie Gajdy, i że ten przyszedł upomnieć się o swoją własność. Dziedzic wyszedł na ganek i zastał tam Anielkę, z obawą i ciekawością przypatrującą się olbrzymiemu wieśniakowi, którego twarz była raczej zakłopotana, niż groźna.

— Cóż! zaczął pan Jan. Znowu twoim koniom podobała się moja pszenica?

— Zara, jasnie panie, ja od początku prawdę — rzekł chłop, pochylając się ku ziemi.

Jak słonko weszło, kazalem mojej dziewczusze popaść koniska nade drogą, tu gdzie ugór. A te wzięły, zawróciły i poszły w pszenicę. Może nie uszczypały jednej trawki, kiej przyszedł fernal i zajął je. Ale już ja za to mojej dziewczusze kości porachuję, żeby pamiętała.

Anielkę, słyszącą te słowa, dreszcz przebiegł. Zdrętwiała ze strachu i powtórzyła cichutko:

— Porachuję kości mojej dziewczusze! Biedna Magda.

Tymczasem rozmowa Gajdy z dziedzicem trwała jeszcze czas jakiś, lecz Anielka nic już nie słyszała, nic nie rozumiała.

Myśląc o losie Magdy, nie mogła się uspokoić. Chciała ją ratować, ale jak?

Wreszcie Gajda z farnalem oddalił się po swoje konie i zwrócił na prawo od ganku, gdzie za inspektami leżały budowle gospodarskie. Za parę minut wrócił do domu i zaczął bić Magdę.

— Co ona myśli w tej chwili?

Anielka okrzyknęła dwór, skrzęciła na lewo za inspekty i pobiegła do płotu, ciągnącego się na przeciw stajni, aż do gościńca. Tu zatrzymała się, czekując na Gajdę, równie zatrwożona, mającą nastąpić z nim rozmowa, jak losem Magdy, jak wreszcie i tem, ażeby jej samej nie spostrzegł ojciec.

Usłyszała powolny tętent kopyt i ciężkie kroki chłopca. I w tej części płotu jedna ze sztachet była złamana. Anielka odsunęła ją, prze-

szła pełen pokrzyw, które jej ręce i nogi poparzyły i zabiegła drogą Gajdzie.

Szła prosić.

Chłop ujrawszy ją, zatrzymał się i patrzył ponuro na zbladłą twarz i bojaźliwe szafirowe oczy dziecka.

— Gospodarzu! — rzekła Anielka ledwie dosłyszczanym głosem.

— Czego? — spytał krótko.

— Gospodarzu, prawda, że wy nie będziecie bili Magdy?

Chłop aż się cofnął.

— Posłuchajcie mnie, proszę was! Ona taka mała, czy mogła zatrzymać takie wielkie konie? Ona jest — o... mnie po ramię. Widzieliście jej ręce? Cóż ona poradzić mogła koniom takimi rękami? I pewnie bała się ich jeszcze. Ja gdyby mi konie uciekły, płakałabym tylko. Ona może gończyła je, ale gdyby ją który uderzył kopytem, pewnieby ją zabił.

Na twarzy chłopca malowało się zdziwienie, graniczące z przestrawieniem. Z oczu, głosu, każdego ruchu Anielki biła taka potęga uczucia, że groźny olbrzym widział się wobec niej małym.

— O, nie bijcie jej! — mówiła Anielka, składając ręce. Wy jesteście tacy silni, a ona taka słaba. Gdybyście ją tylko mocniej schwyli, moglibyście udusić. Żebyście wiedzieli, jak ona boi się teraz! Pewnie siedzi w oknie i słucha, czy nie nadchodzą. Musi płakać i trząść się... bo coż ona poradzi? Konie zawiniły, a ją bić mają.

— Anielko, Anielko! odezwał się z ogrodu głos panny Walentyny. Anielka na chwilę umilkła. Z rozpaczą nieomal obejrziała się dokoła, a potem jakby szczęśliwą myślą natchniona, szybkim ruchem wydobyla z poza sukienki złoty medalionik i zdjęła go z szyi.

— Patrzenie, Gajda... Ta Matka Boska jest złota i poświęcona w Rzymie. Dostałam ją od mamy. Kosztuje bardzo dużo, więcej niż trzy ruble. Dała mi ją mama i kazała przez całe życie nosić. Ale macie ją, byleście nic złego nie zrobili Magdzie!

Dziewczynka, trzymająca taką świętość w ręku, wzrosła w oczach chłopca do znaczenia księdza, trzymającego hostię. Zdjął czapkę i bardzo wzruszony przemówił.

— Schowaj se panienka ten obrazik prze-najświętszy. Ja tam nie żyd, żebym takimi rzeczami handlował.

— Anielko, Anielko! — wołała panna Walentyna.

— A będziecie bili Magdę?

— Nie.

— Z pewnością nie?

— Niech mnie Bóg broni! — rzekł uderzając się w piersi.

— I nigdy?

— Już nigdy nie będę bił małych dzieci, bo by chyba Pan Bóg jaką karę na mnie zesłał.

— Anielko, Anielko!

— No to bądźcie zdrowi! Dziękuję wam! I cofając się do płotu, przesłała mu pocałunek ręką.

Chłop stał, patrzył na nią i słuchał ostatniego szelesta. Potem przeżegnał się i zaczął pacierz mówić. Serce mu prędko biło. Gdyby widział cud, nie byłby więcej zmieszany. Potem zaczął iść wolno ze spuszczoną głową i znikł na zakręcie, trzymając wciąż czapkę w ręku.

Magda była ocaloną od kary.



Upał, deszcz i chłód.

Któregoś dnia było na świecie bardzo gorąco. Błękit nieba przyświecał żarem, w powietrzu drgały iskry złote, migotały plamy tęczowe.

I oddychać tem lotnem zarzewiem prawie nie było można. Ziemia dyszała gorącem, stworzenia wszystkie wpół omdlewały.

Ani jeden listek nie trzymał się prosto; najwytrzymalsze zwisły bezsilnie.

— Gdzie nam teraz myśleć o cieniu dla ziemi! — szemrały — dość mamy własnej biedy!

Ptaków ani słycho. Zaszył się ten drobiazg gdzieś w kąty, wtulił pod gałązki i spał, czy czuwał — nie wiadomo.

Zamarło życie, ustał ruch, tylko narzekania ludzkie przerywały tę ciszę.

— Co za upał! Mój Boże, jaki straszny upał! Żeby raz już sobie przeszedł. Nie w taką spiekę robić nie można.

Tak biadali ludzie i ocierali pot z czoła. Nie pomyśleli nawet, czy upał jest potrzebny, czy nie.

Tymczasem upał był bardzo potrzebny; bo najpierw dopiero od paru dni zrobiło się gorąco, a przytem „czy upał, czy nie upał” — pracować zawsze trzeba.

I trwały te narzekania ludzkie od ranka do zmierzchu.

Tymczasem w polu stał sobie wysoki silny

upał. Głową do samego nieba dosięgał. Chwytał on rękami peki promieni słonecznych i rzucał do-
kola siebie w różne strony: na zboże, żeby doj-
rzewało, na sady i łąki.

Jednym promykiem kazał budzić uśpione w
pączkach kwiaty, a innym jeszcze wypijać wodę
z rzek i strumieni.

Bo i wody zawiele szkodzi niekiedy.

Stał sobie na polu upał i słuchał, co o nim
mówiono i jak na niego narzekano.

Zal ścisnął mu serce. Przecie on setki mil
zrobił, żeby na czas przybyć tutaj.

Bez niego nie dojrzałyby zboża, nie zarumie-
niłyby się jabłka i gruszki, nie pootwierzałyby się
kwiatów kielichy.

I za to wszystko ludzie odpędzają go od
siebie precz.

— To dobrze, pójdę sobie od was, niewdzię-
cznicy — powiedział. — Zobaczymy, jak sobie
bezemnie dacie radę.

Tak powiedział, lecz groźby nie spełnił, bo
dobre miał serce i pożałował ludzi. Niedarmo
słońce było mu ojcem.

Skończył wreszcie upał swoją robotę. Wsze-
dzie, het, daleko, jak okiem zasięgnąć, drżały
fale zbóż złotych chyliły się ku ziemi ciężkie
ziarnem kłosa.

Ani jeden pączek nie został opuszczony, ani
jedna leśna jagoda pominięta. Promienie słone-
czne dopóty je muskały, tuliły — aż od ciepła
kwiaty w uśmiechu roztworzyły kielichy i prze-
mówiły wonią — jagody zabłysły czerwienią
rumieńca.

Była to jednak praca nielada. To też upał
zmęczył się bardzo, zczerniał, skurczył się,
zmaliał.

Wprost z ziemi poleciał upał na słońce.
Pewnie, żeby odpocząć i rozgrzać się trochę, wia-
domo bowiem, że niewdzięczność ludzka wszystko
zmrozić potrafi.

Potem jednak żal się zrobiło upałowi ziemi.

— Trzeba trochę ludzi orzeźwić, spragnione
roślinki napoić — pomyślał.

I po drodze wstąpił upał na bagna i łąki,
gdzie w pałacu ze srebrnych promieni utkany
mieszkała mgła.

— Moja droga, idź tam, ochłódź ziemię —
powiedział.

Mgła lubiła bardzo podróże, chętnie więc
przyrzekła spełnić prośbę. Cichutko, bez szelestu
podniosła się mgła i szła długim liljowym welo-
nem otulając wszystko, co spotkała na drodze.

(Dokończenie nastąpi.)



ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Srodkowy rząd prostopadły i poziomy utwo-
rzy nazwisko nam znanego poety polskiego.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Spółgłoska.
- 2) Rzeka w Afryce.
- 3) Ryba.
- 4) Miasto n. Bugiem
- 5) Miasto na Podolu
- 6)
- 7) Imię.
- 8) Człowiek pewnej części ziemi.
- 9) Rośnie w ogrodzie.
- 10) Część twarzy.
- 11) Samogłoska.

II.

Kto znalazł gniazdo białych orłów i jak się
nazywa to miasto, które w tem miejscu później
zbudowano?

Rozwiązanie łamigłówek z nr. 23.

I.

Z A K
r A k
s a L k a
Z A L E S K I
s o S n a
o K o
I

II.

B o c i a n.